



# TRZECI PAN R.

**JERZY WALDORFF**

Z okazji wystawienia w Teatrze Wielkim w Warszawie opery „Chłop” Witolda Rudzińskiego, przypominała mi się dawna wymiana zdań w kawiarni literatów przy Krakowskim Przedmieściu, kiedy jeszcze żyli Magdalena Samozwaniec i Artur Marya Swinarski. Poprzedniego wieczoru Samozwaniec wybrała się na komedię Jerzego Jurandota, którego nie lubiła z całego serca. Skoro więc nazajutrz przyszła do „Literatów” i dojrzała Swinarskiego, skrzywiła się z niesmakiem i rzekła:

— Wie Arturek, że to było wcale dobre?

Na co Swinarski:

— A mówiłem Madzi, żeby nie chodzić, a mówiłem!

Wynurzyła mi się z pamięci owa scenka, gdy podczas antraktu „Chłopów” zaczepił mnie jeden z warszawskich krytyków widomie zawiedziony. Trzeba zaś pamiętać, że krytycy muzyczni serdecznie nie lubią Rudzińskiego, który parokrotnie obszedł się z nimi w sposób nadzwyczaj brutalny! Otóż krytyk zbliżył się i powiedział:

— Wie pan, że ci „Chłopi” są lepsi, aniżeli się spodziewałem.

W rzeczy samej, ale z wieloma zastrzeżeniami, które domagają się eksplikacji.

Witold Rudziński nie należy do twórców młodych. Jego wczesne kompozycje powstawały w latach 1930-ych i już w tamtych, przedwojennych czasach zajął się pedagogiką w Konserwatorium Wileńskim. Solidna wiedza ułatwiła mu też opracowanie studiów o twórczości Moniuszki (1955—1961) oraz Beli Bartoka (1964). Mimo gruntownej wszakże bazy teoretycznej, mankamentem jego własnych dzieł był od początku brak inwencji, przy czym nie dotyczy to jedynie melodyki, ale również — zwłaszcza w muzyce współczesnej — wyobraźni, dźwiękowej, wrażliwości na barwę brzmienia orkiestry, co takie charakterystyczne jest dla świetnych osiągnięć Pendereckiego.

Nie wiem, czy świadom tego, czy powodowany niedosytem sukcesu, Rudziński podjął w „Chłopach” — tak można sądzić! — walkę o zdobycie szerszej, niż dotychczas ją miał, publiczności. W rezultacie już ze wstępu do opery odezwał się Szymanowski z Redyku w „Harnasiach”, później w scenie weselnej porzmiewały „Chmiele” Wiechowicza i „Pieśń o ziemi naszej” Palestra. Obrazowi Zaduszek i Zimy towarzyszył Szostakowicz z „Katarzyny Izmajłowej”, zaś w wiosennej procesji głos zabrał sam mistrz Puccini, i tylko włoskiego kardynała brakowało na tej mazowieckiej wsi.

Tutaj należy wszakże postawić następujące pytanie: czy niżej strefy dzieł wybitnych (nie mówiąc o stratosferze arcydzieł!); czy wśród seryjnej produkcji operowej brak podobnych przykładów eklektyzmu? — Jest ich mnóstwo, żeby wspomnieć tylko popularną na całym świecie łwórczość Gian-Carla Menottiego, a u nas plody operowe Tadeusza Szeligowskiego, u którego za młodu Rudziński terminował.

Napomknąć wypada również o tym, że co się tyczy pewnej części spektakli operowych, o ich atrakcyjności nie decyduje tylko muzyka, jeśli w ogóle decyduje o czymkolwiek. Bestsellerem Menottiego była i jest opera „Konsul”, której także libretto napisał kompozytor, o tyle udolniej od partytury, że owego „Konsula” można byłoby wystawiać jako sztukę czysto dramatyczną, bez śpiewu i orkiestry.

Wreszcie, zanim „Chłopów” wziął na swój filmowy warsztat Jan Rybkowski, zaś potem na operowy Rudziński, pierwiej interesował się bliżej tematem trzeci pan R. — Władysław Reymont, pisząc arcypowieść, którą — mimo odstręczającego języka młodopolskiego — czyta się do dziś nie bez zachwytu. A stwierdzić należy, iż autorki operowego libretta „Chłopów”, panie Krystyna Berwińska i Wanda Wróblewska dały, poza nielicznymi potknięciami, jedrną i czytelną kondensację rozległej panoramy polskiej doli chłopskiej u początków tego stulecia („Chłopów” tworzył Reymont w latach 1904—1909).

Co tu gadać: wszyscy w Teatrze Wielkim przyczynili się do powodzenia opery takiego, jakie w ogóle było możliwe. Andrzej Sadowski zaprojektował tylko jeden jak gdyby stełaż dekoracyjny — unosząca się pod górę wklęsła nieekną ziemia, która zajmuje całą scenę, a za swym wrębem pozwala domyślać się dalszych odległych horyzontów. I ta jedyna niecka, w miarę rozwoju akcji i wpływu czasu, przebierana jest z jednej pory roku na drugą: z burych jesiennych skib w biel zimy, potem w zieleni wiosenną i złoto lata: tak właśnie jak to się dzieje w Reymontowej powieści.

W ładne kostiumy ubranych przez Zofię Wierchowicz mieszkańców wsi doskonale roztańczył Witold Gruca, za co w scenie weselnej miał osobne brawa przy otwartej kurtynie. Doświadczona w reżyserowaniu muzycznych widowisk Danuta Baduszkowa nie tylko świetnie ustawiła sceny zbiorowe, jak gdyby wmalowując je w pejzaż zdolnym pędzlem, ale przede wszystkim nieomylnie poszczególne obsadziła role, stworzyła szereg autentycznych ludzkich typów, kazała śpiewakom wyjść ze sztamper operowej i poruszać się na wzór aktorów dramatu.

Włodzimierz Denysenko był nalezycie porywczym i pohukliwym Boryna; Bożena Batley-Sieradzka — również dzięki pięknemu głosowi, jak i urodzie pozwalała uwierzyć w swą złowieszczą rolę wsiowej jawno-grzesznicy i dziw brał, że Feliks Gałęcki — efebowały Jaś kleryk nie uległ jej parnym wdziękom. Ale przede tego właśnie chciał Reymont i jemu też była posłuszna Krystyna Jamróz w roli Hanki pazurami zdającej się trzymać morgów. Bożena Brun-Barańska nareszcie, bardziej niż Reymontowa matka Jagusi — Dominikowa, nasuwała myśl o przyszłości „niedaleko pada jabłko od jabłoni”, taka była pohutliwa i rada tańczyć, że jej kiecka fruwała na opasłym żądzie podczas borynowego weseliska.

Nie zaglądałem do partytury Rudzińskiego, sądząc aliści po sprawnym zgraniu fosi orkiestrowej z solistami i chórem, po chyba możliwie najlepszym brzmieniu tej nie najlepszej muzyki wnioskuje, że kompozytor winien także, a raczej przede wszystkim wdzięczność za artystyczny wysiłek dyrygentowi Antoniemu Wicherkowi, odpowiedzialnemu za cały muzyczny kształt widowiska.

Cofam się w czasie, oddalam w przestrzeni, żeby wspomnieniami przenieść się do Pragi, na przedstawienie w Narodnim Divadle opery Zdenka Fibicha „Narzczone z Messyny”, z pewnością gorszej od „Chłopów”, a przecie widziałem jak gorące miała przyjęcie u czeskiej widowni, bo swojska, więc patriotyzm każe ją popierać. Może byśmy wzięli przykład z Czechów i zaakceptowali „Chłopów” pamiętając, że arcydzieła często się nie rodzą.

Lęk mnie jednak chwytą, czy wyrafinowani melomani nasi oraz snobi obcmokujący Pendereckiego nie potraktują aby „Chłopów” jako zbyt prostych, zaś szerokie rzesze byłby Oper, te które biegają na „Traviatę” i „Toskę”, jako za trudnych.

Cóż naówczas pozostanie, krom smutku?..